



Fot.: S. Pielniarowicz

## Felieton teatralny

# Rozprawa patetyczna

„Warszawianka” na scenie zamkowej zaczyna się nader interesująco. Przede wszystkim za sprawą doskonałej muzyki, która jest zasługą Zbigniewa Karneckiego. Sądzę nawet, że ta oprawa muzyczna zasługuje na odrębną, fachową ocenę, bo jest niezwykle ważnym i udanym elementem przedstawienia. Drugi taki element, to scenografia Małgorzaty Treutler — bardzo zgrabnie zakomponowane w warunkach sali zamkowej wnętrze dworku, z wysuniętym głęboko do przodu fortepianem.

Jest więc na początku muzyka, tylko muzyka, i to wewnątrz. Wanda Lasko-

wska, reżyserka przedstawienia przedłużyła ten początek do samej granicy możliwości, nadając jednak przez to pustej scenie całkiem autonomijną funkcję. Długo nie dzieje się nic, słychać tylko muzykę, a poprzez nią dochodzące z daleka głuche, miarowe uderzenia kotła, niby wystrzały ciężkich armat.

I potem, również przez dość długą chwilę, na scenie jest tylko sama Maria, za nią pojawia się Anna i dopiero później, po ich pierwszych kwestiach wchodzi na scenę pozostałe postacie „Warszawianki”. Ładne kostiumy, staranna kompozycja figur scenicznych. W centrum oczywiście Chłopicki, wyraźnie posagowy, w udrapowanym, siwym płaszczu. Do strony muzycznej dochodzi więc nie mniej interesująca sirona plastyczna. Dbałość o te elementy cechuje zresztą przedstawienie do końca. I pod tym względem, należy przypuszczać, szczecińska inscenizacja „Warszawianki” jest chyba bliska wizji autora dramatu. Dla Wyspiańskiego przecież, malarza i poety, były to elementy w teatrze bardzo ważne. Kiedy w 1898 r. wystawiono po raz pierwszy „Warszawiankę” w teatrze krakowskim, Wyspiański sam zrobił projekty dekoracji, a następnie całą pedanterią rozważał każdy drobiazg i jego miejsce na scenie.

Wróćmy jednak do sali zamkowej. Padają pierwsze słowa poetyckiej opowieści o dramacie Marii, dramacie powstańczego wojska, a przede wszystkim o niemocy i rozdarciu wewnętrznym ich wodza — Chłopickiego. Pięknie brzmią słowa poematu, ale okazuje się rychło, że liczy się głównie... ich brzmienie. Nie treści, które w sobie niosą, nie sprawy, o których mowa, ale stany głównych bohaterów: trwogę i tragiczne przecucie Marii (Anna Korzeniecka), zgorzkniały sceptycyzm i niewiarę w sprawę Chłopickiego (Ryszard Zieliński) żarliwą nadzieję i wolę walki Skrzyneckiego (Wiesław Zwoleński).

Bardzo to wszystko efektowne dla oka i ucha, ale jednocześnie odległe od nas, nie zdolne nas głębiej poruszyć. Ze sceny wieje przede wszystkim patos,

który odgradza od niej widzów nieuchwytną barierą. Zza tej bariery Chłopicki w wykonaniu Ryszarda Zielińskiego jako swego rodzaju posąg, posąg w gruncie rzeczy zimny i pusty. Zieliński nie ożywił Chłopickiego, nie sprowadził go z postumentu, nie uwierzył — chciałoby się powiedzieć — człowieka — wodza rozdzieranego wewnętrznymi sprzecznościami. Można zresztą sądzić, że taka właśnie sylwetka Chłopickiego jest prostą konsekwencją całego zamysłu reżysera, to znaczy Wandy Laskowskiej i tkwi w przyjętej przez nią linii.

Podobnie z innymi postaciami, a zwłaszcza z Marią. Maria Anna Korzeniecka jest niemal nieprzerwanie bohaterką antycznego dramatu, Kasandrą głoszącą złowrogie wróżby, wyniesioną w swoim bólu poza granice ludzkiego odczucia, a zatem również daleka nam, nie do przyjęcia.

Pozostaje sam Wyspiański. Nie wiem czy jego dramat, będący przecież raczej poetycką legendą niż ideową wypowiedzią w narodowej sprawie, można dzisiaj na tyle zbliżyć widzowi, aby nim poruszyć i wstrząsnąć. Obawiam się, że to już niemożliwe i „Warszawianka” pozostanie pozycją liczącą się tylko w historii polskiego dramatu, pozycją którą należy znać i od czasu do czasu przypominać. Jak wiadomo w Szczecinie wystawiono „Warszawiankę” w dość odświętnych okolicznościach, bo z okazji XXX-lecia Państwowych Teatrów Dramatycznych. Trzeba przyznać, że dobra to okazja i ta inscenizacja stanowi ładną oprawę jubileuszu. Można tylko żałować, że umyślnie, czy też nie umyślnie W. Laskowska nasyciła przedstawienie nadmiernym patosem. To, co ostatecznie w postaciach dramatu, podporządkowało kompozycji całości. W rezultacie „Warszawianka” na scenie zamkowej, wszystko o czym tam mowa, nabrało cech rozprawy o źródłach i przyczynach powstańczej klęski. Nie jest to chyba najszcześliwszy klucz do tego dramatu, o ile zresztą taki klucz istnieje.

Z. WRZOS